



fol. J. Ligęza

Sopot – 65

5 sierpnia sopocka Opera Leśna znalazła się w centrum uwagi miłośników piosenki nie tylko w naszym kraju, lecz również i za granicą.

Tegoroczny, V już z kolei, Międzynarodowy Festiwal Piosenki w Sopocie zyskuje z racji swego jubileuszowego charakteru szczególnie staranną oprawę. Szkoda jedynie, że w wyniku nieprzewidywanych trudności nie udało się zrealizować projektowanego „mariażu” z podobną imprezą w Ostendzie. Podobnie jak w ub. roku, scenariusz festiwalowych imprez stanowić będzie malowniczo połączona sopocka Opera Leśna. Chcąc godnie uczcić ten pierwszy jubileusz, organizatorzy pomyslili o wydaniu obszernego programu, o bogatej szacie graficznej. Wreszcie mają się też ukazać pocztówki dźwiękowe z nagraniami nagrodzonych piosenek i to w tempie naprawdę błyskawicznym — nazajutrz po wykonaniu estradowym pocztówki będą w sprzedaży.

Pod względem liczby uczestniczących krajów i piosenkarzy, Sopot-65 nie przyniesie poważnych zmian w porównaniu z latami poprzednimi. Na sopockiej estradzie spotka się 66 artystów z 29 krajów kilku kontynentów. 18-osobowa polska ekipa została wyłoniona w wyniku III Festiwalu Opolskiego. W jej skład wchodzi: Anna German, Lucja Prus, Elżbieta Ziółkowska, a na międzynarodowym koncercie „Na płytach całego świata” „Polskie nagrania” będą reprezentować: Katarzyna Poverny, Ewa Demarczyk, Irena Santor, Bogdan Ła-

zuka i Piotr Szczepaniak. W Sopocie wystąpią też „Niebiesko-Czarni” oraz doskonały parodysta Andrzej Bychowski. W międzynarodowym jury z Polski zasiadają: Henryk Czyż, Mirosław Dąbrowski, Witold Filler, Lucjan Kaszycki, Tadeusz Kubiak i Szymon Zakrzewski. W wykonaniu zagranicznych artystów usłyszymy 27 polskich piosenek.

Wyrazem zainteresowania, jakie wzbudza sopocki festiwal, jest fakt, że obok polskiej TV, również radio kanadyjskie zamierza nakręcić własny średniometrażowy film z przebiegu sopockiej imprezy.

Na naszym zdjęciu Andrzej Bychowski — laureat opolski — piosenkarz o dużej wszechstronności, celujący w parodii i piosenkę stylizowaną. Wart uwagi choćby ze względu na znakomite opanowanie gestu, czarującą swobodę, przywodzące na myśl najlepsze wzory piosenki francuskiej.

Wydaje się, że Bychowski tak gorąco oklaskiwany w Opolu i w Sopocie znajduje licznych zwolenników. Rzecz to dość zresztą rzadka, by talent wokalny szedł w parze z tak znakomitą interpretacją aktorską — i tu wypadła przypomnieć Bychowskiego choćby w świetnej parodii Violetty Villas czy Kaliny Jędrusiak — piosenkarek o bardzo odległych interpretacjach.

Popularność Andrzeja Bychowskiego da się porównać tylko może z tą, jaka przypadła w udziale Bogdanowi Łazuce...

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

Klimat posiadania

Wsi nie wybierałam. Jechałam na oślep, bez uprzedniego rozeznania, bo chciałam ją zaskoczyć w codziennym bytowaniu, nieprzystosowaną, taką jak zawsze; nie lubię odświeżających rozmów z papierkiem w rękę, kiedy wszyscy mnożą przede mną osiągnięcia, szermują cyfrą i kształtują swój dorobek w bryłkę Midasowego złota. Z doświadczenia wiem, że złoto owe nie zawsze bywa prawdziwe, choć wsparte liczbą nabiera cech autentyczności i potężności.

Dlatego wsi nie wybierałam. Chciałam tylko, by była duża, miała swoją inteligencję i nie leżała przy głównych traktach. Są ich dziesiątki, właśnie takich nieczym pozorne się nie wyróżniają, a jednak każda z odmienną specyfiką gospodarowania i kultury. Pokazała jedną w sensie uogólnienia byłoby niepoważne, mimo to wiele ma ten sam dzień powszedni, w którym się niewiele dzieje i którym nie odróżniają się od reszty.

Poza jasno sprecyzowanym tematem, który dotyczy roli inteligencji pracującej na wsi, nie więcej do Sieteszy nie wiozłam. Choć, bo ja wiem, czy ów jej mieszkaniec, który w Kańczudzie przysiadł się do naszego wozu, nie narzucił mi już parę kilometrów przed nią, gotowego obrazu jej bogactwa?

Wracając z dalekiej wyprawy do Przeworska, skąd wiozłam trofea w postaci dwóch wielkich puszek z konserwą mięsna po 280 zł każda, kupionych z myślą o wizycie ciotki z morza, co jutro miała zjechać do Sieteszy i jak pewno szóstnie przewidywałam, miała zapoczątkować okres prapolskiej gościnności w myśl starej dewizy „zastaw się a postaw się”. Postawił się, przekonany, że tajemniczą konserwą z zagranicznym napisem, która zaimponowała mu ceną, ugłaszczą amerykańsko-sieteską duszę ciotki. Kurczęta własnego chowu miał w pogardzie ostatecznej, bo gdzie by tam ciotka jadła to, czego jest pod dostatkiem, co prawie za darmo przyszło, kiedy ona teraz pani.

Wesoły to był gospodarz w ogóle. Gdyby nie pewne zmęczenie, wynikłe widać z rannego wstawania, dobrze ubitej transakcji i paru kielszków, co na niego spadało po nadmiernym podnieceniu — niewiele już pewno zostałoby mi do indywidualnego szukania, by móc uformować sobie prawdziwe oblicze wsi.

O czym mówił? — O wszystkim; O tym, że Sietesz pieniądzem stoi, że kulturalni ludzie w niej żyją, że domy jak pałacyki, że sady pachną owocem i dobrobytem, że sianie zboża jest przeżytkiem, że ma piękne śliwki, że na nie zaprasza, że ogląda telewizję, że malował kościół i że w całej Polsce, ha, w całej Europie, takiego nie uwidzisz...

Z pobożnym zachwytem słuchałam o tej aktywności i nieledwie czułam owo wielkie zadowolenie z siebie w opowieści, którą przerywał tylko po to, by wyciągnąć sfatygowanego sporta, zapalić, wypuścić porcję smrodliwego dymu i dalej mówić o wsi, s w o j e j wsi, nie pytany, nie zachęcany.

Po nadmiernie rozbudowanej uwerturze, gdzie nie brakło zdrowego humoru i optymizmu reszta wydawała się dziecinnie łatwa. I na pewno była łatwa wtedy, kiedy mówiło się o dobrobycie, pieniądzu, kulturze życia codziennego; co najmniej komplikowały się sprawy, mętlił obraz, kiedy uparcie wracałam do spraw kulturalnych sensu stricto, kiedy pytałam o nie, przekonana, że usłyszę nową baśń Szeherezady. 1000 i drugiej nocy jednak nie było. I choć wyobraźnia moja podatna na wszelkie opowieści, nowej baśni nie ma z czego stworzyć. A szkoda, bo plener piękny, ludzie interesujący i klimat odpowiedni.

Usadziła się Sietesz na 7 km dłużej wstańce szosy, którą budowano spontanicznym zrywem, swoje piękne domki-wille powyłkała prze-

myślnie między kępy drzew, ukryła po sadach lub wyniosła na wzniesienie, gdzie słońce wyprawia narce i pogodnie rozświetla kolory, nawet biel przydając złocistego blasku. Ma 800 numerów, ale ponad tysiąc gospodarstw; z tych 800 połowa, to na pewno budowane po wojnie, nowiutkie, a może i więcej niż połowa, bo przez 20 powojennych lat wydano sieteszanom 730 zezwoleń na budowę; tak więc każdy gospodarz coś budował w tym czasie. Przez te budowy powstało w samej wsi 30 zespołów cegielnianych, które i dziś jeszcze przynoszą niezłe korzyści i długo pewno nie stracą na aktualności, bo GRN zarządza nową akcją — akcją ostatecznej likwidacji słomianych strzech. Niewiele ich co prawda i tylko przykryte nimi zabudowania gospodarcze, ale i te nieliczne stanowią zagrożenie pięknych wili i spędzają sen z powiek, rujnując spokój ducha co najmniej, tym, co swoje wnętrza przyozdobili orzechem kaukaskim, kryształami, dywanami, ba, i tej dziesiątce, co zdobyła telewizory, i tym dwóm, co sprowadzili do własnych posiadłości fortepiany, które nie stoją tylko, by zabawić okolicznych przypomnieniem przedwojennej piosenki o gnoju i rękawiczkach, ale, tak jak u Romanowskiego, służą do nauki (córka jego to podobno zdolna dziewczyna i nieźle już gra).

Przy ostatnim spisie ludności krążyło dużo, ponurych w istocie, dowcipów wokół wstydlwego problemu sławoek, które wielu z oburze-

nem szczerem sytuowało, jak najdalej od chałupy, z przerażeniem przyjmując do wiadomości, że mogłyby kiedyś wejść w skład mieszkani. Chyba w Sieteszy takich nie było. W tych wilijkach łaźienka jest równie ważna, jak pokój mieszkalny, jak centralne ogrzewanie, jak piękny wystrój zewnętrzny.

I choć przyjemnie się pisze o komforcie zamożnej wsi, to myślę, że nas przybyszów jednodniowych przewierca pytanie, skąd te upodobania, a raczej skąd środki na te upodobania. Przewodniczący GRN cb. Władysław Jędryka, którego tu z sympatią nazywają etatowym przywódcą wsi, gdyż od początku nią gospodarzy, nie bez dumy i sentymentu dla jej mieszkańców opowiada mi o tych wspaniałościach i... sprycie przewidującym swoich gospodarzy. Nie mają dużych gospodarstw, właściwie połowa co najmniej rozporządza najwyżej dwoma hektarami ziemi i z tradycyjnej uprawy wyszłaby pokonana niedostatkiem. Toteż, po okresie wielkiej migracji w latach czterdziestych, kiedy sieteszanie zaludniali bez mała całą Polskę, a ci najmniej ryzykanci sasiadnie wsie, gdzie na przykład w Październiku stanowią co najmniej połowę jego obecnych mieszkańców, ta reszta, co pozostała, rzuciła się namiennie w sadownictwo i przeczornie w uprawę kontraktowe.

(Ciąg dalszy na str. 2)

ANNA HORYNIECKA

brawy siwiały mgłą
a dom
skurczony w brzydocie
kusił modrzewiem za oknem

noc
drżała w niebie
milczeniem przerażonym

człowiekiem co świata zapomniał
i szukał ludzi
bez tajemnic
bez szczęścia

smoki fruwały w przepaściach snu
niejadowite

pogłaskałam drzewo pocałowałam próg
i pomknęłam w lasy
uciekałam od szczęść niepewnych

i tęsknię za człowiekiem
co świata zapomniał
i szukał ludzi
bez szczęścia
w ciszy

ciszy się nie szuka
cisza jest w człowieku

BOGDAN LOEBL

Burza

Nie lękaj się
to grzmia tak
koła Wielkiego Wozu
co po wybojach chmur się toczy
a tę błyskawicę
to śmignięcia bąta
co Wielkim Wozem kieruje
by, z Mlecznej Drogi nie zoczył.

Jak przestanie padać „ten” mniej-szy, to zacznie — większy — skomentować krótko i niestety trafnie młody człowiek schowany przed deszczem w nieczynnej z powodu niepogody budce lodziarza. Siedział tam już dobrą godzinę. Tyle samo byłem uwieczniony i ja pod rozłożystymi lipami w samym centrum Błażowej.

Czekanie pod lipą umiła mi jakiś nieznamy z... błażowskiej śmietanki, tej garstki szczęśliwców, która otrzymała mieszkania w reprezentacyjnym, najbardziej okazałym w mieście, położonym w samym centrum bloku, obok przystanku PKS, w sąsiedztwie szpitala i izby porodowej. Ow nieznamy, widać zapalony meloman, posiada ho, ho, ho, wcale pokazy, w dodatku z najnowszymi nagraniami komplet płyt. Miłośnicy muzyki przychodzą tu częściej na te „koncerty z okna”, a że odbywają się one zwykle przed wieczorem umilają jednocześnie oczekiwanie na rozpoczęcie... filmu.

Trzeba bowiem wiedzieć, że w Błażowej panuje pewien zwyczaj. Otóż kinomani głównie młodzi, przed pójściem do kina zbierają się pod lipami, a jeśli jest ich mało (wówczas kino nie „gra”) agituja kolegów i znajomych do pójścia na film. Stąd już zwarta grupa, która wiadomo, że nie odejdzie sprzed kina z kwitkiem, idą śmiało do odległego o kilometr „z hakiem” przybytku X Muzyki jednego obiektu kulturalnej rozrywki w Błażowej.

To 4-tysięczne z górą miasto, bardzo rozrzucone, obejmuje swym zasięgiem kilka przysiółków, które skłonił byśmy raczej nazwać wioskami. Prawdziwych z krwi i kości mieszczan nie ma więcej jak tysiąc. Kto wie, może dlatego, przez skromność, czy też niepewność (godzi się Błażową miastem nazywać?) na jednym z ogłoszeń informujących o godzinach przyjęć członków Prezydium MRN — wyrazy „Miejska Rada Narodowa”, tak ujęto właśnie w cudzysłowie.

Prorocstwo młodzieńca z budki lodziarza ponownie okazało się prawdziwe. Lunęło jakby się chmura oberwała. W pośpiechu zdejmowano kraty przykrywające kanały burzowe; woda płynęła wartkim potokiem po obu stronach ulicy. Wtem zawyła strażacka syrena. Pali się! Przerazenie ogarnęło ukrytych pod lipami. Z okalających rynek uliczek pędzili „na sygnale dzwonkowym” strażacy na rowerach.

— W Kąkolówce zapalił się dom od pioruna — rzucił krótko jeden z nich.

Odetchnęli z ulgą. Nie na długo. Za chwilę przemknęła na pełnym gazie karetka pogotowia.

— Wioza chyba kogoś do porodówki... która coraz częściej używa gościnności wielu rzeszowiaków, ku oczywistej ich niezadowoleniu. Ale cóż więcej mogą wówczas okazać niż niezadowolenie, za to, że w metryczkach ich dzieci w rubryce „miejsce urodzenia” urzędnik Stanu Cywilnego wpisze później — Błażowa. Stąd też coraz więcej błażowian mieszka... w Rzeszowie.

Świeże są jeszcze wspomnienia, kiedy to przed kilkoma zaledwie tygodniami przysiółek Błażowej — Wilczak otrzymał światło elektryczne. Choć dzień był deszczowy i pochmurny, a ulice tonęły w błocie, twarze mieszkańców Wilczaka promieniowały radością. Wszyscy byli szczęśliwi. Spełniły się wreszcie marzenia.

Pierwsze plany i projekty elektryfikacji Błażowej zrodziły się zaraz po wyzwoleniu. Ponieważ nie było szans na rychłe „wejście do planu” błażowianie postanowili zelektryfikować miasto sami i to w dość o-

bytności. Obok nas mury rozpoczętej budowy — szkoły. To też zasługa wspomnianego Towarzystwa skupionego wokół Domu Kultury, zespołowego jego budowa. Za zarobione na przedstawieniach pieniądze zespół sprawił miastu nie byle jaki prezent, kupiono plac pod szkołę. Kto wie, czy podobnych inicjatyw nie byłoby więcej i czy Błażowa nie zasłynęłaby z realizowanych w ramach czynu społecznego inwestycji, gdyby grupie zapaleńców, do której oprócz nauczyciela Błażewskiego należeli: Piotr Bąk, Adam Lorenowicz, Aniela Hus z Górnej Błażowej, fotograf

to znów „szedł” kasowy film i trzeba było próbę odwołać. Przygnębieni i zniechęceni tą zebraną zrezygnowali wreszcie ze swojego domu.

Ktoś podpowiedział wówczas, by się „przytulić” do nowego Domu Strażaka. Pomysł wprowadził niezły, ale w praktyce okazał się trudny do zrealizowania.

— O ile nam — wspomina Błażewski — nie chodziło o pieniądze, lecz o to, by pożytecznie i przyjemnie spędzać czas, zorganizować go innym, strażacy stawali na wstępie warunki finansowe. Owszem, sali użyjemy, lecz spodziewamy się za to ekwiwalentu — mówili.

„Gwałtu, co się dzieje” — tą właśnie sztuką przed trzema laty zakończył działalność zespół teatralny. Tytuł, wyjątkowo adekwatny. Od tego czasu, mimo wysiłków aktorów-amatorów, Błażowa nie doczekała się kolejnej premiery. Kto wie, czy nie brak zainteresowania ze strony Miejskiej Rady Narodowej, ba, nawet tylko moralnego poparcia, nie jest powodem zastoju kulturalnego w miasteczku.

Niedawno staraniem Koła ZMW zorganizowano wieczór humoru i satyry. Starsi (członkowie wspomnianego chóru i zespołu teatralnego) byli tym trochę nawet zgorznięci, ale tylko tym, że nie występowali razem ze swymi młodszymi kolegami na scenie. Skrytykowani zaś obrazili się

RYSZARD BILSKI REFLEKSJE POD LIPAMI

ryginalny sposób. Aż z Torunia sprowadzono olbrzymią prądnicę (na prąd stały) z silnikiem spalinowym. Była to najprawdopodobniej elektrownia okrętowa. Po urządzeniu pojechał nauczyciel miejscowej szkoły Wiktor Błażewski, który obecnie jest na emeryturze.

— Proszę sobie wyobrazić — wspomina — moje zmartwienie, kiedy na stacji w Toruniu, szczerze radzono mi, abym wybił sobie z głowy to, że nadam przesyłkę bez jakiejś „ważnej” pieczątki. Nie opuścił mnie jednak tupet i pomysłowość bowiem z bagażem zgłosiłem się do firmy spedycyjnej, która wszystko, bez pieczątki sprawnie i szybko załatwiła. Po kilku dniach elektrownia przyjechała do Błażowej. Do dziś można ją oglądać „stol (ani razu nie była uruchamiana) w... rzeźni miejskiej. Bo gdy władze powiatowe i wojewódzkie zobaczyły inicjatywę, pomysłowość i upór, pośpieszyły nam z pomocą i miasto zelektryfikowano, tak jak należy — zakończył swe wspomnienia Stanisław Błażewski.

To była jedna z licznych zrealizowanych inicjatyw Błażewskiego i jego przyjaciół, zorganizowanych w... Związku Chórow i Teatrów Ludowych. Nie, to nie pomyłka. Wspomniane bowiem towarzystwo było nie tylko motorem życia kulturalnego, lecz również społecznego i gospodarczego.

Projekt budowy Domu Kultury zrodził się jeszcze na kilka ładnych lat przed wojną, ale realnych kształtów nabrał 10 marca 1929 roku, kiedy to odbyło się pierwsze zebranie Komitetu budowy wspomnianego domu. Ponieważ obiekt wznoszono wyłącznie za środki społeczne budowa trwała dość długo. Rozmachu nabrała dopiero po wojnie, gdy do dzieła wziął się Błażewski i jego koledy.

Siedzę właśnie z moim rozmówcą na kozłach cegieł niedaleko domu

Franciszek Sowa, nie stanął na przeszkodzie pewien biurokrata z Wojewódzkiej Rady Narodowej.

W 1952 roku w wyniku jakichś niezrozumiałych posunięć władz wojewódzkich (władze centralne w Warszawie im się sprzeciwiały, po-



Fot. Ryszard Bilski

pierając racje Błażewskiego, niestety bez powodzenia) inicjatorom, realizatorom budowy i właścicielom zabrano Dom Kultury, i przekazano go Wojewódzkiemu Zarządowi Kin.

Choć przez kilka lat zespół artystyczny (głównie teatr i chór) korzystał z gościnności kina, doszło w końcu do tego, że był zmuszony z niego zrezygnować. Na drodze do sceny piętrzyło się coraz więcej przeszkód; to się gdzieś zapadł klucz, innym razem nie było kierownika,

i rozgniewali srodze... i znów podcięto skrzydełka młodemu zespołowi.

Rzadkie, wyjątkowo rzadkie są w Błażowej wizyty kierownika Wydziału Kultury z Rzeszowa, brak także opieki i pomocy z jego strony. Czy zespół artystyczny, który sam wybudował dom kultury, był inicjatorem wielu jeszcze innych poczynań i przez kilkanaście lat organizował w mieście kulturalną rozrywkę nie budzi zaufania i nie wart jest zainteresowania i pomocy?

RYSZARD BILSKI

Klimat posiadania

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Zyto czy pszenica należą do rzadkości na polach; wyrugowały je trawy, rzepak i burak cukrowy. Powiadają nawet, że kilku gospodarzom, co nie sieją w ogóle, zbuntowana z początku wieś zabroniła sprzedaży chleba, by zaprotestować oficjalnie przeciw takiej polityce. Ale później ośmielona ich powodzeniem, podpatrywała, medytowała, obliczała i podbita korzystną, ba, zawrotną kalkulacją, uległa. Dziś nie protestuje — robi to samo. Najwyżej tylko się pośmieją dzieciśka dobrodusznie z Jana Zięby, który w roku kiedy posiał rzepak, tuż po zbiorach kupił motor, wołając za nim, że jeździ na rzepaku...

A sadownictwo? To już namiętność sieteszan, pielęgnowana chyba nie tylko dla zysku. Oni kochają się w sadach. Doświadczony sadownik Józef Magoń tak pięknie dziwaczy w swojej posiadłości, że można go nazwać naukowcem. Wieś z dumą przypatruje się jego zabiegom wokół drzew, korzysta z doświadczenia i pewnie w nieszkodliwie zadrosnym podziwie, obserwuje przyjazdy naukowców z warszawskich instytutów czy tych, z Związku Radzieckiego, którzy taki szmat drogi przebyli, by zobaczyć kiście orzechów winogronowych, które u-

dało się wyhodować Magonowi. A sam Magoń przeprowadza niezliczone doświadczenia z owocami, gospodarzy statecznie, buduje dom, przywodzący na myśl dobre wzory zakopiańskiej ciesiołki, bo to i zdrowiej i bardziej po myśli tradycji.

A takich gospodarzy, tu więcej, kulturalnych, postępowych, zamożnych, że choćby wspomnę Rudnickiego, którym się tu szczycą, jego wzorową gospodarkę z maszynami i sprzętem nowoczesnym i chyba najbardziej tymi czterema synami — magistrami, którzy co niedziela zjeżdżają własnymi samochodami do ojca, zakasują rękawy i ruszają w pole... Nazywają Rudnickiego kmiem i jest w tym nazwaniu cały szacunek dla jego pracy i podziw dla efektów tej pracy.

Jest także miły podziw dla stareńskiego świątkarza — Józefa Płazy, który sam już dziś przypomina siwiutkiemu świętemu. Siedzą na gospodarstwie, w górce, wśród traw i roślin, pogodny, chichocząc zabawnie opowiada mi swoje wydarzenie z młodości, jak to rzeźbił dla biednej wdowy św. Romana, patrona jej niedawno zmarłego męża. Miał niezłą wyobraźnię i talent — wyrzeźbił pastucha o zmierzowanej twarzy, z biczyskiem, który

żywo przypominał zmarłego. Wdowę zachwylił, nowego świętego kościółowi przyrzucił, a dziś wspomina rzecz z rozrzewnieniem, do wciplnie...

Przyjemnie się gwarzy o bogatej historii ludzi; o tyle przyjemniej im mądrzejsze to bogactwo, im więcej dające utrudzonemu człowiekowi równowagi, im bardziej utwierdzające go w przydatności ogólnospołecznej. Zafascynowana nim, tymi niefałszowanymi osiągnięciami, z przyjemnością opowiadałam o 600-letniej wiosce, starej, przez 580 lat bardzo niebogatej, nagle, bo cóż znaczy w jej historii te ostatnie 20 lat, kwitnącej zamożnością i spokojem, rozumiejącej kulturę życia codziennego.

Czegoś mi jednak brak w tej sielance. Brak zwłaszcza po rozmowie z kierownikiem szkoły, z miejscowym technikiem dentystycznym — ludźmi, którzy pożytecznie sprzedają nabytą wiedzę na tym, na pewno dla wiedzy przychylnym, gruncie.

Pytam o i c h dzień powszedni, o wpływ, jaki mają na środowisko, o wzajemne stosunki, o tę działalność, jaka zwykła nam się kojarzyć z czasami bohaterów Żeromskiego.

Technik dentystyczny, pan Florian Ryzner, który pochodzi z Sieteszy i zaraz po technikum do niej wrócił, bo, jak twierdzi, gdzieś może być lepiej, nie rozumie, czy nie chce rozumieć moich pytań. Powtarza, że stosunki są dobre, ludzie kulturalni, ale o swoich inicjatywach

milczy. Muszę to milczenie uznać za negację, zresztą z całej, dość skąpej i trudnej dla mnie rozmowy, wniosł kawałek, że pan Ryzner jest zupełnie niezainteresowany tym „co tam w duszy gra” sieteszianom. Pracując w swoim pięknym domu, skrytym za górą, wieczory spędza z rodziną też w nim, zapatrzony w telewizor. O inicjatywach kulturalnych nie myśli, skwapliwie odsyłając mnie do innych, którzy miałby tu coś do powiedzenia... Rezygnuję więc, choć nieczęsto mnie to spotyka i brnąć po błocie i glinie w pożyczonych od gościnnego rolnika gumniakach, pod strumieniami lipcowego deszczu, jeszcze raz z gorczą zastanawiam się, dlaczego bliskie sobie w gruncie rzeczy pojęcia cywilizacji i kultury chodzą tak odmiennymi drogami? Dlaczego kosztem jednej rozbudowuje się druga?

Oczywiście, że wieś jest cywilizacyjnie poła, ale czas tu wreszcie powiedzieć, że w przeworskim wydziale kultury, wyraźnie jego kierownik ostrzegł mnie przed rozczarowaniem, że proponował jako przykład świetnej pracy kulturalnej pobliską Gać, Markową czy Łopuzkę. „Bo w Sieteszy — mówi! — jakoś niewiele się dzieje”. W istocie, wśród pięknych will do dziś stoi stara szopa domu ludowego, na który od lat gromadzi się cegły, nie mogą przystąpić do budowy; bo skromny tylko pokój przeznaczony na biblioteczkę o jeszcze skromniejszym księgozbiore, liczącym zaledwie około 3,5 tys. tomów; bo czytelników niewiele ponad 350, i zważywszy, że szkolnej młodzieży jest też około 350, kto wie, czy nie ma jakiejś katastrofalnej zbieżności w tych liczbach, katastrofalnej naturalnie dla cywilizacji dorosłych; że z trudem, jak mówi przewodniczący, wygospodarowują wspólnie z GS te 2 tys. zł. na kulturę, które

...Czego

Józef Lenart należy do pokolenia pisarzy, którzy debiutowali po 1956 roku, krytyka określa tę grupę mianem pokolenia „Współczesności”. Twórczość Lenarta interesuje nas również z tego względu, że autor pochodzi z Rzeszowszczyzny, urodził się w Rzeszowie w 1931 roku.

A oto rozmowa z autorem „Codziennie toczy się wojna”, przeprowadzona w redakcji dwutygodnika literackiego „Współczesności”.

„Widokrąg”: Jakże doświadczenia życiowe poprzedziły Pański debiut literacki?

Lenart: Pochodzę z Rzeszowa, Dzieciństwo przeżyłem na Budach, w dzielnicy, którą najlepiej charakteryzuje sama jej nazwa. Czas wojny spędziłem głównie na — owszem czasem niebezpiecznych — wiozącach i zajęciach. Spokojniejsze okresy przeżywałem, gdy zaciągałem się do służby na wsi. W 1944 r. tuż po wyzwoleniu Rzeszowa, postanowiłem wziąć udział w powstaniu warszawskim, ale nie udało mi się „sforsować” linii frontu. Potem ugrzęzłem pod Siedlcami i rok przeżyłem w chłopa. Z wojny wyszedłem z gruźlicą. Dwa lata leczyłem się i nadbrałem szkolne zaległości w Domu Dziecka w Zakopanem. Z gimnazjum wyrwał mnie Zaciąg Pionierski do górnictwa. Romantyka odradzającego się kraju. Skończyłem szkołę górniczą, jednocześnie pracując w kopalniach jako ładowacz. Później byłem pracownikiem ZMP w powiecie oleskim na Opolszczyźnie i tutaj po raz wtóry zapadłem na gruźlicę — proszę zauważyć, nie w kopalni to się zdarzyło — rzecz bardzo charakterystyczna warunki, w jakich wówczas pracowali nie tylko przecież młodzi działacze polityczni. Gdy podleczyłem się, zacząłem pracować w prasie młodzieżowej.

Uprawiałem tam reporterkę, która mi bardzo odpowiadała. Była to dobra szkoła i widzenia i pisania. Wiersze zacząłem drukować w roku 1951, w okresie swojej pracy dziennikarskiej, publikowałem m. in. w „Pokoleniu”, „Wsi”, „Życiu Literackim”, „Sztandarze Młodych”. Potem miałem okres przerwy w działalności literackiej, niemal zupełnie pochłonięta mnie działalność polityczna w ZMP, Rewolucyjnym Związku Młodzieży, ZMWS (J. Lenart w burzliwym okresie 1956 i 1957 r. był m. in. i sekretarzem Tymczasowego KC ZMS. Obecnie — od IV Zjazdu partii — jest zastępcą członka KC PZPR).

„W”: W jakiej mierze korzysta Pan w twórczości z własnych doświadczeń życiowych?

Lenart: Materiału z mej biografii raczej nie wykorzystywałem z wyjątkiem debiutanckiej powieści „Portret”. Tam i autentyczna sceneria dzieciństwa i zapamiętane typy

n. b. od razu idą na doroczną spartakiadę sportową i Dzień Nauczyciela; że nie ma wreszcie w Sieteszy, poza zespołem orkiestry dętej przy straży pożarnej, żadnego innego, stałego zespołu artystycznego; że były plany utworzenia małego muzeum, gdzie znalazłby miejsce stare świątki i piękne stroje, ale pomieszczenia brak na nie do dziś; że...

Wyliczanie, czego nie ma, jest przykrym zajęciem, tak samo przykrym, jak smutne sformułowanie ob. Jedryki, że „chłopi chcą mieć domy kultury u siebie w domu, a nie iść gdzieś po wsi i gromadnie się nudzić w jednym”.

Myślę, że smutno było przewodzić czemuś mówić do mnie o tym i z tego zażenowania chyba powstało porównanie do czasów przedwojennych, gdzie „chłop bardzo biedny budował swoim wysiłkiem kościół — pałac. Dziś, ani za dziesięć lat, ludzie by fundamentów nie postawili”. Przesada i pesymizm — być może, że na fundamenty kościoła byłoby trudno zebrać fundusze, ale może by niektórych sieteszan wysłać na wędrowną po rzeszowskich wioskach, mniejszych i biedniejszych, które od lat prowadzą działalność kulturalną w ośrodkach, wzniesionych własnym staraniem i kosztem?

Pozwalam sobie na to odmienną zdanie przede wszystkim dlatego. że właśnie tu, gdzie samo grono nauczycielskie liczy 10-osób, gdzie jest piękna spółdzielnia zdrowia z lekarzem, gdzie obrabio sobie siedzibę dwoje dentystów, gdzie działa energiczna pani agronom, gdzie co druga rodzina może poszczycić się wykształconymi dziećmi, gdzie są dość liczne i bliskie związki z nimi, gdzie słowo „kultura” nie jest pojęciem gołosłownym czy nieznanym — ten stan rzeczy musi budzić niepokój.

Życzę swemu miastu

ludzkie z pewnością jakiś znalazły wyraz. Jeśli idzie o moje dalsze książki, to są nie tyle wynikiem realnego, by tak rzec, faktycznego doświadczenia, ile refleksji. To właśnie wybija się — jak mniemam — na plan pierwszy, decyduje o stylu książki pt. „Codziennie toczy się wojna”. Moje doświadczenia osobiste — powiedzmy np. z okresu agitacji za spółdzielczością produkcyjną na wsi — znalazły dość odległe chyba odbicie w tej mikropowieści, w sumie są to jednak refleksy zaledwie, stanowiące margines tej książki.

„W”: Chronologicznie biorąc, następnie ukazały się Pańskie książki o Syberii.

Lenart: Na parę lat przerwałem pisanie prozy fabularnej, pracowałem nad książkami o Syberii.

„W”: Jaka jest geneza tych książek?

Lenart: Wydaje mi się, że książki te biorą udział w polemice z literaturą, nazwijmy ją tak „wielkiego zwątpienia w sens cywilizacji”, w sens zaangażowania człowieka w tworzeniu historycznej rzeczywistości, w budowaniu cywilizacji. Spór jest nasz, polski, ale nie tylko — nawet z pewnością nie tylko. „Uczłowieczenie” Syberii — tego szmatu ziemi o złej sławie więzienia pod gołym niebem — to niejako sytuacja kliniczna, w której można sprawdzić swoje własne refleksje, zderzyć je z rozległym doświadczeniem wielkich mas ludzkich. Tak się zrodziły te książki: z potrzeby poszukiwania sensu życia i działania, z potrzeby sprawdzania i wreszcie z potrzeby polemiki ze sceptycyzmem, z niewiarą. Jestem rad, że odbyłem kilka podróży po Syberii i że „Pogoń za słońcem” i „Uczłowieczanie ziemi” — książki, które w wyniku tych podróży powstały — utwierdzają w nas owo poczucie sensu.

Natomiast moje biograficzne doświadczenia zaczynają owocować w innej dziedzinie. Napisałem słuchowisko radiowe (nagrodzone na 20-lecie PRL), którego akcja rozgrywa się na Śląsku w okresie zaciągu węglowego pt. „Próba ognia”. Jest to ostrożne próbowanie problematyki mającej źródło w „faktyczności” mojej biografii: jest to jeden ze szkiców powieści, jaką przygotowuję dla Wydawnictwa „Śląsk”. Szkieletem do innej z kolei powieści jest — być może — również dramat telewizyjny „Przesilenie”, którym staram się wkroczyć w trudną problematykę polityczną okresu październikowego. Wreszcie napisałem dramat telewizyjny „Kreś”, za który również otrzymałem nagrodę w konkursie TV.

Wszystkie te rzeczy radiowo-telewizyjne traktowałem jako próby. Mam wrażenie, że przeżywam okres

przejściowy. Wydaje mi się, że te próby zapoczątkowują coś nowego w moich literackich usiłowaniach. A, może i możliwościach?

„W”: Jakie problemy interesują Pana najbardziej?

Lenart: Przede wszystkim staram się żyć pełnym życiem tego kraju. Literatura jest dopiero pr tym. Interesuje mnie życie nie tyle w wymiarach „kulturalnych”, ile w wymiarach społecznych. Uwikłania spo-



(Rozmowa z Józefem Lenartem)

łeczne wydają mi się decydujące w życiu jednostki, w stopniu o wiele poważniejszym niż skloni jesteśmy to pojąć, czy uznawać. Nasz „mały świat” indywidualny, jego sytuacje psychologiczne i obyczajowe, jest dosyć dobrze przez literaturę spenetrowany. Literatura dotąd, w moim przekonaniu, nie miała dostatecznych możliwości ująć człowieka w jego skomplikowanych stosunkach z szeroko pojętym światem. Właściwie dopiero XX wiek wprowadza w nasze życie pełną świadomość uzależnień naszych losów, od tego na przykład, co się dzieje na drugiej półkuli. To musi wprowadzać pewne zmiany psychiczne, zmieniać proporcje problemów w życiu człowieka, zakres jego świadomości, zakres czynników wreszcie kształtujących jego poczucie bezpieczeństwa.

Jeśli mówić o nowoczesności literatury — to przede wszystkim jej zadanie polegać będzie na wypracowaniu artystycznych środków po-

zwalających na wyśledzenie i uświadomienie tych, często ukrytych, a jednak istniejących związków między jednostką a cywilizacją.

Wydaje mi się, że wydeptywanie przez różnych „nowatorów powieści” śladów Prousta niewiele nowego wniosło do literatury. Tolstoj jest w moim przeświadczeniu pisarzem znacznie bardziej nowoczesnym aniżeli Proust. Od Tolstoja właśnie zaczyna się wypracowywanie środków pisarskich dla literatury wielkiego wymiaru, ściślej „wielkiego świata człowieka”.

„W”: Jak w świetle tych uwag wygląda sytuacja pisarza wobec czytelnika?

Lenart: Sytuacja ta jest w pewnym sensie bardziej skomplikowana aniżeli kiedykolwiek. Gdy się mówi o kryzysie powieści nie zawsze stawia się problemy li tylko pozorne. Proza musi wypracowywać nowe środki. Chodzi o to, by literatura była pojemniejsza poznawczo, a skoro tak, musi przełamywać stare konwencje, do których czytelnik zdążył się przyzwyczaić i z którymi już jest mu wygodnie, musi troszczyć się o to, by stwarzana przez nią wizja świata była adekwatna do rzeczywistego życia współczesnego człowieka. W tym celu literatura musi burzyć nie tylko własne konwencje, ale i zastarzałe schematy myślenia i odczuwania czytelnika. Ale chodzi też o to, by ambitna literatura nie zerwała kontaktu z czytelnikiem, co jest przecież przydarza niektórym pisarzom nadmiernie zadufanym.

„W”: Czy aprobuję Pan też o swojej przynależności do pokolenia „Współczesności”?

Lenart: Jeżeli w ogóle istnieje pokolenie „Współczesności” — to chyba tak. Akceptuję pojęcie „pokolenia” tylko w socjologicznym jego znaczeniu, a nie ideowo-literackim. Nie odczuwam, by istniał jakikolwiek wspólny mianownik pomiędzy twórczością I. Iredyńskiego, S. Grochowiaka czy Z. Herberta. Jesteśmy różni.

Każdy z nas odczuwa swoją odrębność. Moja droga do pisarstwa jest na pewno odmienna niż wielu innych kolegów.

„W”: I na zakończenie: czy wciąż interesują Pana rodzinne strony?

Lenart: Owszem i to bardzo! Na przykład kiepsko się czuję w mazowieckim, płaskim krajobrazie, najbardziej odpowiada mi górysty Widzę wielką współzależność między samopoczuciem psychicznym a charakterem pejzażu. Pejzaże w mojej prozie nigdy nie są nizinne...

A poza tym duma. Ilekroć myślę o cywilizacyjnym awansie naszego kraju — umiejscawiam fakty w rzeszowskich stronach. Z radością śledzę ruch, jaki się w nich odbywa. Cieszy mnie rozwój Rzeszowa, cieszy mnie bardzo, że to nieefektywne miasteczko tak wypiękniało, marzy mi się, że w dalszym rozwoju Rzeszów „dorobi się” własnego prężnego środowiska twórczego, również literackiego. Czegóż życzyć memu miastu z całego serca.

Rozm.: ZBIGNIEW WAWSZCZAK

Cerkiewka w Żołobku — Fot. M. Kopeć



WIESŁAW RUSTECKI

Na końcu bieszczadzkiej ścieżki

Województwo kończy się w regulach cywilizacji gdzieś to Sanoku czy Lesku. Nie my będziemy decydowali, które z tych miast godne jest miana stolicy Bieszczadów. Dalej na południe zaczyna się wiek, powiedzmy, siedemnasty, sienkiewiczowski „Dzikie pola” we wiadaniu turystycznej „koczowniczej”. Bieszczady są naszym ostatnim „osternem” i westerem wymagającym polityki osiedlenia nie na miarę powiatowej inwencji. Dwie fale imigracji — chłopi i turyści mają niewiele ze sobą wspólnego; chłopi płacą ciężką, autentyczną cenę pionierstwa, turyści są sezonową falą.

Być może zawinił tu dziki, górski pejzaż oswojony asfaltem obwodnicy, wyleczony dziesięcioletnim odlogiem pejzaż domowej wojny. Jest to kraj od nowa pierwotny, jakby boży magazyn na nowy projekt świata. W zieleni drzew, topografii między, w łagodności dolin — pod siedmioma potopami wojny, prześwietlona powietrzem czai się pamięć o cywilizacji, która odeszła bezpowrotnie.

HISTORIA TEJ ZIEMI

Na nasz stosunek do materialnej historii tej ziemi nie może mieć wpływu „nawis”, która wrosła w krew pobratymczą. Kultura Łemków i Bojków przynależy do naszej spuścizny, podobnie jak grobowce Etrusków do kultury Rzymu, tym bardziej że zostawiły po sobie fenomen nie mający w sobie równego w Europie — fenomen drewnianego ludowego budownictwa.

Drewniane budownictwo słowiańskie ma za sobą wieloletnią historię, którego ślady odnajdujemy w bagnach Biskupina, w metropoliach Kruszwicy, Ostrowia Tumskiego, Gniezna czy Przemysła. Jest paradoksem, jak mało dbamy o ten plebejski dokument kultury ludu polskiego, jak pozwalamy, aby pod ciężarem prefabrykatów rozpadły się stare chłopskie chaty, młyny i wiatrak, także — kościółki i cerkwie. Łatwiej w Polsce o konserwację sztuki królewsko-magnackiej, łatwiej o ocalenie szlacheckich dworów, niż o ocalenie drewnianego dokumentu polskości. Naturalnie, to dobrze, że zachowujemy dla przyszłych pokoleń materialne bogactwa narodu, że ocalamy architekturę Krasiczyna i Baranowa, Wawelu i Łańcuta, Pieskowej Skąły i Nieborowa, ale ginące na naszych oczach patriarchalne budownictwo wsi — również domaga się zabezpieczenia. Nie twierdzimy też, że się nic w tej materii nie robi; powstają skanseny, które zachowują najwartościowsze typy ludowej architektury. Przecież poza zasięgiem popularnej wiedzy pozostaje światowy fenomen sztuki — drewniane cerkwie Bieszczadów.

Była to kraina przez wieki autonomiczna, samorodna, na ile samorodną jest sztuka Podkarpacia i tatrzańskich górali. W cerkiewnej cieszolce spotkał się wielowiekowy kunszt chłopskiego racjonalizmu i praktyczności z wyzwolonym poczuciem piękna. Jest to sztuka „tej części społeczeństwa — jak pisze prof. Roman Reinfuss — która z powodu różnic ekonomicznych i ucisku klasowego nie mogła korzystać z dorobku sztuki zwanej wyższą, utożsamianej często nieścisłnie z narodową, a stanowiącej własność cienkiej elity społecznej i gospodarczej”. Jest to sztuka feudalnego chłopstwa o tyle hermetyczna, że przejawiająca się w zadziwiającej różnorodności typów architektonicznych, spokrewnionych z podobnymi objawami architektury Podhala i śląskiego Beskidu.

RATUJMY ŚLAD PRADAWNOŚCI

Są jedynymi świadkami dawnych osiedli, miasteczek, wiosek, chutorów. O ich usytuowaniu świadczą kępa drzew, zarosnięta ścieżka, także — dokumenty wojewódzkiego konserwatora. Do niektórych — drogi zarosły lasem, inne objęta droga obwodnicy. Są jedynym śladem pradawności, nie pełni żadnej funkcji, stoją zamknięte, czasami — rozkradzione. Ich jedyny w świecie artystyczny domaga się odkrycia, włączenia ich w turystyczny pejzaż Bieszczadów. Jest ich niewiele ponad 150 — dla potomności dążyć się zachować nie więcej niż jedna trzecia. Rozpadają się w oczach.

(Ciąg dalszy na str. 4)

Czas był urolowowy, kiedy odwiedziłem Sietesz — wielu z tych ludzi nie zastałem; być może rozmowa z każdym z nich wniosłaby coś nowego do moich spostrzeżeń. Jedno jest wszakże pewne, że nie zmieniłoby na pewno stanu faktycznego, który krzyczy o braku inicjatywy z ich strony, o braku zbiorowego porozumienia, o braku wpływu na świadomość ponad 3-tysięcznej wsi.

I kiedy Antoni Zajac — energiczny, cieszący się we wsi autorytetem kierownik szkoły, który robi znacznie studia wyższe, z troską o poziom nauczania wydał własne zarządzenie, że wszyscy jego nauczyciele muszą skończyć Studium Nauczycielskie — i kończą je — widzę w tym dowód rozsądku i mądrego sprytu. Nie można nie pochwalić także form pracy pozaszkolnej, która przekształciła się w roczne przysposobienie rolnicze i spółdzielcze; nie sposób nie dostrzec tej energii działania u komitetu rodzicielskiego, który wygościł z ich swoich składek telewizor dla szkoły. A więc rezerwy ludzkiej inicjatywy są osiągalne i efektywne, ale... poza szkołą już nie bardzo widoczne.

Pewnie, że w relacjach wieś — nauczyciel istnieje do dziś wiele problemów ogromnie ważnych i nie rozwiązanych; pewnie że w takiej Sieteszy nauczyciel ma dodatkowe trudności budowania autorytetu własnego z zapleczeniem skromnego uposażenia naprzeciw bogatego chłopca, który żyje i mieszka w większym od niego komfortie cywilizacyjnym; pewnie, że istnieją smutne konflikty dnia codziennego, kiedy trzeba wadzić zarządzenia zaskakujące dla niezorientowanych, jak na przykład to, że produkty spożywcze nauczyciel może kupować tylko u rodziców dzieci, które mają w

dzienniku „bardzo dobry” ze wszystkich przedmiotów... Ta sytuacja zmusza do wielu kombinacji nauczyciela, do szukania własnej koncepcji umiejętnego współzycia. Bez niej i najmędrzy niewiele zdziałają we wsi. Kierownik Zajac jest w Sieteszy 10 lat. Ma bogatą przeszłość, doświadczenie, autorytet i wiele walk podjazdowych ze strony chłopca za sobą. Wrosł w środowisko i w licznych sprawach decyduje, a to obciąża do zwiększenia inicjatywy, do wyeksponowania swojej grupy ludzi na pierwszy plan w działalności rzeczywiście kulturalnej, której w Sieteszy brak.

Problem inteligencji pracującej na wsiach, przy stałym powiększaniu się dobrobytu tych ostatnich, przy coraz bardziej zacieraających się granicach między cywilizacją miejską a wiejską, staje w tej chwili w centrum uwagi społecznej. Bez pretensji do uogólniania, przy na pewno niedoskonałym poznaniu skomplikowanych kwestii, jedno jest pewne, że jej wpływ na życie kulturalne, niestety w wielu zakątkach kraju jeszcze bardzo ubogie, mógłby być kolosalny. Zwłaszcza tam, gdzie istnieje jej sporo liczebnie, gdzie działalność jej tym samym automatycznie mogłaby pozbyć się cech samotnego społecznikostwa, indywidualnej walki, a przyjąć formę zbiorowego działania. Zagadnienie jest na tyle pasjonujące, że wrócić do niego w najbliższym czasie, traktując sieteskie doświadczenie, jako zaledwie przyczynek do tematu, jednocześnie odnoszę wrażenie, że rzekoma nietypowość tej oświeckiej, gospodarczej wsi, tak minimalnie zainteresowanej w różnorodnych formach działania kulturalnego, powtórzy się, niestety, w niejednym powiecie.

KRYSTYNA SWIERCZEWSKA

Kontynuatorzy Benvenuto Celliniego

KOBIELSCY

Noszą imiona Danuta i Janusz. Mieszkają i pracują w Warszawie, na Mokotowie. Janusz ma lat 40, Danuta... mniejsza o to. Danuta jest z wykształcenia inż. architektem, Janusz marzył o medycynie, pracował... w centrali handlu zagranicznego.

Noszą wspólne nazwisko: Kobielscy, któremu nadali już rozgłos, dzięki temu, co robią i jak robią, a co jest sztuką. Bardzo stara, Starsza niż wyczerpane od dawna kopalnie srebra w Olkusz i starsza nawet niż Rzym, Bizancjum i groby faraonów. Nazywa się to — złotnictwem i Kobielscy zajmują się tym od 8 lat.

— Z a l e d w i e od ośmiu — podkreśla p. Danuta, wyjaśniając, że doświadczenie w tej dziedzinie przychodzi o wiele później niż w innych dyscyplinach plastycznych. Stopy, emalie, konstrukcja przedmiotu, prawo gry barw kamieni, światła i faktury metalu oraz jego obróbka, słowem — rzecz wyobraźni i rzecz techniki równocześnie — oto czym jest klejnot, nim stanie się kształtem.

— A wszystko zaczęło się dosyć gupio. Od pewnej kiecki kupionej na ciuchach dla bardzo pięknych metalowych guzików. Niestety, dwóch brakowało. Uparli się, aby je dorobić. Potem okazano się, że jeszcze potrzebny mi do niej klips, ale że żadnego odpowiedniego nie mogłam w sklepach dostać...

Tak się zaczęło. Od dłubania dla siebie, od zabawy w jubilerkę, w metaloplastykę. Zabawa przeciągnęła się 3 lata. Mnożyły się rysunki, wzory, gotowe precjoza. Kobielscy sami stracili orientację, że każda wolna chwila po pracy spędzali — przy pracy, w warsztacie, nad kartonem papieru, nad tygłem, nad książką wprowadzającą w arkana techniki złotnictwa. Szuflady, szafy, półki zapelniały się przedmiotami o niepowtarzalnej urodzie i wdzięku. Mieli już około 600 własnych, oryginalnych wzorów, kiedy postanowili porzucić swe dotychczasowe zajęcia i zabrać się do sztuki na serio. Profesjonalnie. Wtedy to właśnie p. Danuta wstąpiła przypadkowo do owej zabytkowej kamienicy przy ul. Bagno, którą miała adaptować dla potrzeb centrali „ORNO” na zlecenie swego biura projektów.

Gdy wyszła stamtąd po godzinie, o adaptacji nie było już mowy. Kobielscy przyjęli propozycję prezesa Budnego i związali się z „ORNO” w charakterze artystów-projektantów i wykonawców jubilerów. Mariaż ten trwał do ubiegłego roku. W okresie współpracy z „ORNO” Kobielscy stworzyli około 3.000 oryginalnych dzieł sztuki jubilerskiej. Niektóre z nich tylko powielane były w niewielkich ilościach, idących w dziesiątki sztuk. Inne — pozostały unikatami.

Pracownia plastyków-jubilerów przedstawia się wręcz nieinteresująco. Ot, zwykły warsztat ślusarski. Dopiero — wysunięte szuflady, otwarte drzwi szaf wprowadzają nas w świat ludzi przejętych tą samą pasją, która patronowała twórczości słynnego Marcinka z Krakowa, królewskiego artysty XV w., Macieja Stwosza, brata rzeźbiarza, Piotra Gelhora i Jakuba Bartha, obu sławnych poznańskich złotników XVI wieku i wielu innych, mniej i bardziej znanych rodzimych artystów tej gałęzi sztuki, którzy to wszyscy czerpali ze skończonej doskonałej krynicy twórczości wielkiego złotnika włoskiego doby Renesansu — Benvenuto Celliniego, którego pamiętnikarski „Zwrot własny” (wydany po wojnie przez „Książkę i Wiedzę”) jest jeszcze jednym wybitnym dziełem tego artysty i jednym więcej świadectwem jego epoki. Tyle, że tym razem — w literaturze.

A u Kobielskich... wisłory, zasuszone, diademy, pierścienie, klipsy, brosze, szpilki, łańcuchy,

bransolety, spinki, kłamy, butony — dużo tego. Bardzo dużo i bardzo pięknego. Wszystko ze srebra. Czasem w mariażu ze szlachetnym kamieniem. Czasem — z półszlachetnym: koralem, berylem, agatem, nefrytem. Czasem samotnie. W nagłej formie obrobionego metalu. To zresztą, co najcenniejsze, nieprzemijające w owych przedmiotach, nie jest z pewnością tylko pochodną wartości użytego tworzywa. Choćby nim była platyna i złoto. I rubin. I brylant.

Najcenniejsza w tych klejnotach jest — praca i wyobraźnia artystów. Wyobraźnia i praca, tak ze sobą sprzężone w jeden kształt dzieła i tak nierozłączne, jak ton i barwa dźwięku zapisanego w partyturze, a wydobyte przez wirtuoza tak wspaniale, że nie umiemy już sami rozróżnić: czy piękny dlatego, że tak tylko zabrzmiał, czy też zabrzmiał tak szlachetnie, bo już w zapisie, sam „w sobie” piękny?

Obojgu najbardziej „leżą” formy misternych wiązań z cienutkiego drutu w ulotny i zwiewny kształt filigranowego cacka. Ten rodzaj budowania przedmiotów jest własną zdobyczą Kobielskich, jest oryginalnym wyrazem ich twórczości, aby nie użyć tu pompatycznego słowa — „styl”.

Trzy tysiące klejnotów, w tym 600 niepowtarzalnych wzorów w ciągu ośmiu lat... taka ilość nie zaimponuje na pewno żadnej z nowoczesnych fabryk „Jabloner” ani nawet sztanconej produkcji średniego warsztatu kooperującego z centralą „Jubiler” rzemieślnika. Ale i — nie o to chodzi.

Kobielscy nie mogą i nie chcą konkurować w tym względzie ze swymi „rywalami”. Nawet nie usiłują. Po prostu — robią co innego, i, aczkolwiek i te i tamte ozdoby mają pozornie to samo przeznaczenie: mają być n o s z o n e. Bo choć jedne i drugie kupuje się za pieniądze, w wytworach Kobielskich jest coś, czego żaden pieniądź nie jest w stanie opłacić — oddech sztuki i umiłowanie jej przez artystę, który wkłada w nie prócz umiejętności i talentu — swoje serce i duszę.

S. HENEL



„Naszynnik od Kobielskich”.

Fot. K. Jarochoński



Mgr Czesław Klak: — st. asystent WSP w Rzeszowie

Rys. J. Sienkiewicz

Ze świata

RUCH WYDAWNICZY
NA ŚWIECIE

W Paryżu ogłoszono dane statystyczne dotyczące ruchu wydawniczego w świecie. Zebrano je pod auspicjami UNESCO.

Obecnie czołową pozycję w światowym ruchu wydawniczym zajmuje 6 państw, w których produkcja roczna przekracza 20 tys. tytułów książek. Są to: Związek Radziecki, Chiny, W. Brytania, Niemcy (NRD i NRF), Japonia i Stany Zjednoczone.

Dalszych 6 krajów zbliża się do 10 tys. tytułów: Francja, Indie, Hiszpania, Włochy, Holandia, Czechosłowacja. Tych 12 państw daje łącznie połowę produkcji wydawniczej całego świata. Porównanie między rokiem 1952 a 1962 wykazuje, że podczas gdy globalna produkcja wydawnicza wzrosła o ok. 40 proc., w wielu krajach nastąpił regres. Tak jest m. in. w Belgii, gdzie spadek wyniósł ok. 25 proc., we Włoszech — 16 proc. Wzrost nastąpił we Francji — 5 proc., większy

w Austrii — 11 proc., Japonii — 27 proc., Anglii — 35 proc. Największy skok notują Chiny: w ciągu 10-letniej produkcji wydawnicza wzrosła tu prawie 10-krotnie, oraz USA — wzrost o 85 proc. (przed 10 laty USA znajdowały się jeszcze na tym samym poziomie co Francja).

PAMIĘTNIKI

Znana aktorka amerykańska Shirley McLaine zawarła umowę z jednym z nowojorskich wydawnictw na napisanie autobiografii, która ukaże się pt. „It's better with your shoes off” („Lepiej zdjąć buty”). Aby szybciej ukończyć tę pracę Shirley McLaine od dłuższego czasu nie występuje w filmie.

Również Brigitte Bardot zamierza opublikować swe wspomnienia. Ich opracowanie powierzy jednak jednemu z pisarzy, którego nazwisko trzyma na razie w tajemnicy.

„DZIENNIKI” CESARE ZAVATTINIEGO

Cesare Zavattini należy do czołowych filmowców świata i współtwórców włoskiego neorealizmu. Nie wszyscy jednak wiedzą, że Zavattini to także wybitny pisarz, którego twórczość wzbogaciła poważnie włoską literaturę antyfaszystowską. Jeszcze w br. nakładem wydawnictwa Bompiani ukażą się — drukowane dotąd we fragmentach — słynne „Dzienniki” Zavattiniego, obejmujące okres od roku 1940 do dni dzisiejszych. Są to nie tylko wspomnienia osobiste, lecz także zbiór esejów, opowiadań i artykułów polemicznych z zakresu literatury i polityki.

Ponadto wkrótce ukaże się nowa powieść Zavattiniego pt. „Listy z Kuby”, oparta na wrażeniach autora z pobytu w tym kraju. Zavattini nie zaniedbuje filmu. Ostatnio ukończył scenariusz do filmu „Nowy świat”. Reżyserem będzie Vittorio de Sica.

Na końcu bieszczadzkiej ścieżki

(Ciąg dalszy ze str. 2)

Nie stać nas na konserwację samą dla siebie, muszą one spełniać nowe dydaktyczne funkcje turystyki. Trzeba zebrać ich razem w pobliżu obwodnicy, trzeba uczynić jedynie w świecie muzeum — skansen w naturalnym, górskim pejzażu Bieszczadów. Nie będziemy opierać się ani o miejsce, ani o sposób ekspozycji, o dydaktyzm sztuki ludowej, o umiarę piękno kultury spieciwanej w domowej wojnie. Trzeba teren ten przybrać w hotele i motele, w restauracje i kanalizacje, trzeba łączyć troski historyczne z funkcjonalnością przemysłu turystycznego. Najcenniejsze wystroje wnętrza są zabezpieczone w łańcuckim muzeum, to dobrze. Turystyczny szlak dewizowy, który dzisiaj się kończy na luksusowym hotelu w Łańcucie — powinien objąć właśnie Bieszczady strojne nie tylko w dziki pejzaż i grubą zwierzyńnię, ale w fenomeny pradawnego budownictwa.

Tłumy, które wydeptują deptak obwodnicy, na razie nie zniechęcają się brakiem podstawowych warunków sanitarnych i prądnym smakiem głodu. Ale za parę lat okazać się może, że na ziemi dziewiczej siejemy stare polskie wady braku wyobraźni. Czas włączyć ziemię Bieszczadów do skarbnicy gospodarki i kultury.

WIESŁAW RUSTECKI

Zdarzenia tygodnia

W Łańcucie odbyła się zorganizowana przez Komitet Wojewódzki ZSL w Rzeszowie sesja naukowa, poświęcona 70-letniemu ruchowi ludowemu na Rzeszowszczyźnie.

Podczas sesji omówiono początki ruchu ludowego na Rzeszowszczyźnie. Uczestnicy wysłuchali referatów pt. „Walki klasowo-polityczne chłopów rzeszowskich w latach 1931-39”, „ZMW RP Wied w Małopolsce środkowej w latach 1928-39”, „Ruch ludowy na Rzeszowszczyźnie w walce o wyzwolenie narodowe i społeczne w czasie okupacji hitlerowskiej” oraz „Udział ruchu ludowego w kształtowaniu się władzy ludowej na Rzeszowszczyźnie”.

3 sierpnia br. rozpoczął się w Rzeszowie, zorganizowany przez dział instrukcyjno-metodyczny WDK kurs teatralny dla nauczycieli, instruktorów amatorskich zespołów teatralnych, instruktorów powiatowych i zakładowych domów kultury, odpowiedzialnych za sprawy teatralne.

Program zatwierdzony przez Ministerstwo Kultury i Sztuki (147 godzin) obejmuje zagadnienia inscenizacji i reżyserii sztuki peinospektaklowej, małe formy sceniczne, kulturę mowy i recytacji, zadania, metody i techniki pracy instruktora z zespołem teatralnym oraz wybrane zagadnienia wiedzy o kulturze.

Korespondencyjny Klub Młodych, działający przy Zarządzie Wojewódzkim ZMW w Rzeszowie ogłosił konkurs na debiut literacko-publicystyczny dla osób, które dotychczas nie publikowały jeszcze swoich prac w prasie, radiu i telewizji.

Prace można nadsyłać do 15 września 1965 r. Rozstrzygnięcie i ogłoszenie wyników konkursu nastąpi 15 października br.

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Rzeszowie zorganizowała w Przemysku kurs wstępny dla bibliotekarzy gromadzki.

Podczas 2-tygodniowych zajęć około 30 uczestników — nowo zatrudnionych bibliotekarzy gromadzki lub kandydatów — zapoznaje się z zagadnieniami pracy z czytelnikami, prowadzi zajęcia praktyczne i zaznajamia się z pracą placówek bibliotecznych pow. przemyskiego.

W Domu Kultury w Lesku czynna jest, zorganizowana przez Biuro Wystaw Artystycznych z Rzeszowa wystawa grafiki Marii Gabryel-Rużyckiej.

Okolo 60 grafik (drzeworyty, gwasze, akwaforty, akwatinty) stanowi przegląd twórczości artystycznej tej autorki.

Po zamknięciu wystawy w Lesku dorobek Marii Gabryel-Rużyckiej będzie ekspozowany w drugiej dekadzie sierpnia w Iwonie-Zdroju.

W lokalu przemyskiego Międzynarodowego Klubu Książki i Prasy odbył się koncert pt. „Muzyka poważnie i wesoło”. Wykonawcami byli uczestnicy II turnusu wakacyjnego dla nauczycieli średnich szkół muzycznych z całego kraju. Koncert obejmował utwory na instrumenty dęte blaszane. Poprzednio odbył się koncert na instrumenty dęte drewniane.